

# Stecknadelhorn (4241 m) – z kim jeździć w góry?

Sierpień 2019. Po [zdobyciu głównego celu](#) kierujemy się na inne z odchodzących od góry skalnych ramion, mianowicie to, które zawiera szczyt zwany Stecknadelhorn. Przechodzimy skalną wieżyczkę, za nią pod naszymi nogami śnieżna grań, potem nieco łatwej wspinaczki skalnej i raz dwa zdobywamy szczyt o wysokości 4241 m. Następnie schodzimy na drugą stronę, cały czas z asekuracją lotną. Punkty zakładam coraz rzadziej i nikt nie ma do mnie o to pretensji. Przyzwyczajamy się do tych trudności, skała jest sucha, a ekspozycja nie robi na nas wrażenia. Jedynie wysokość coraz bardziej daje o sobie odczuć. Mnie wierci w brzuchu i nie wiem kiedy nastąpi tąpnięcie. A nie chciałbym w takim miejscu wysuwać się z upręży i wyprawiać gównianych akrobacji. W górach zawsze istnieje pewne ryzyko wypadku, lecz świadomość, że mieliby mnie odnaleźć leżącego z opuszczonymi gaciami to już jest coś, co wykracza poza poziom ryzyka akceptowalnego.



Nasze cienie na Nadelgrat



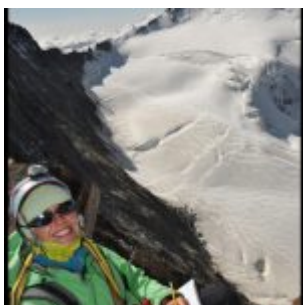
## Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



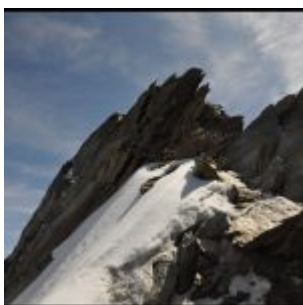
Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłostawa bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Dlatego pokonujemy jeszcze tylko kawałek grani, a jeszcze przed Hohberghorn (4219 m) decydujemy się zawrócić. Co ważne – jednomyślnie, bez żadnych dyskusji. I znów przechodzimy tę samą grań, choć w drugą stronę. Wchodzimy na Stecknadelhorn raz jeszcze, schodzimy z drugiej strony i tu podejmuję to ryzyko, o którym wspomniałem. W przepaść poleciał prawdziwy potwór i w dalszą drogę ruszam 3 kg lżejszy. „Przelatujemy” żandarma, już prawie bez zakładania punktów, bo jak wspomniałem wyczuliśmy ten teren i nie było żadnych niepewnych ruchów i znów jesteśmy przy śnieżnym trawersie łączącym dwie granie schodzące z Nadelhorna. Wyczekujemy tu na przejście ekipy, która bardzo uważnie się asekuje. Stoimy bezczynnie jakiś czas, a gdy trasa się zwalnia, przechodzimy jakby nigdy nic po wydeptanej ścieżce. Trawers jak trawers, bez zagrożenia spadającymi kamieniami, bez oblodzeń, w dodatku krótki.

W zejściu granią Windgrat czuję się niezwykle słabo. Dochodzi nawet do sytuacji, w której zirytowana tempem zejścia Aga krzyczy coś do mnie i pogania. Kiedy się odwracam, widzi moją twarz i już wie o co chodzi.

– Co mówiłaś?

– Nic nic...

Zataczając się schodzę na przełęcz Windjoch, przed nami w zasięgu ręki Ulrichshorn (3925 m). Proponuję, żeby ktoś ze mną poszedł na ten szczyt, bo sam nie chcę (nie mam siły). Moi ukochani towarzysze łagodnie mi oznajmniają, że chyba mnie popie...liło. Nie znalazłem kontrargumentu.

Poniżej przełęczu zmieniamy kolejność, bo Aga niczym elf pomyka na dół. Ale póki jesteśmy na lodowcu, to wciąż łączy nas sznurek, więc daleko nie ucieknie. W połowie drogi przez lodowiec skręca mnie, klękam i w kolejnych skurczach żołądka wypluwam 2 różnokolorowe ślinki. I nagle w jednej chwili odzyskuję siły. Nadal osłabiony, ale już bez wyraźnych dolegliwości czuję, że mogę iść tyle ile trzeba, a nawet dłużej. Schodzimy z lodowca, rozwiązujemy się i nasz elf

pocina skalnym grzbietem do namiotu. Drugi schodzi Tomek, a na końcu ja.

Przedziwna to sprawa, że po tylu w ostatnich miesiącach alpejskich wypadach obejmujących wysokość nawet 4000 metrów i absolutnie żadnych w tym roku objawów wysokościówki tym razem tak mnie siekło. Nawet w namiocie nie miałem ochoty nic jeść i pić. Tym większa wdzięczność dla Tomka, który mnie poratował jabłkiem wniesionym tu na własnych plecach i tego jabłka mu nie zapomnę, bo było to jedyne coś, na co mój organizm się w danej chwili zgodził.

Podsumowując wypad – nie znasz dnia ani godziny, kiedy dopadnie cię choroba wysokościowa. A wtedy zmienia się punkt widzenia, bez względu na wszystko. Nagle ktoś przywiązuje ci ciężarki do nóg, rąk, do głowy i do brzucha. I zapomnij o błyskawicznych podbojach, bo to co cię wtedy czeka to droga krzyżowa. I nigdy nie wiesz, ile będzie stacji, ile razy padniesz i ile razy zdołasz się podnieść. W takich sytuacjach nieoceniona jest zgrana ekipa. Najlepiej taka, która cię zna na tyle dobrze, że potrafi określić czy i jak należy ci pomóc.

Niewątpliwie komfortowym uczuciem jest to, że możesz w 100% liczyć na swoich towarzyszy. Czy zatem nie można jeździć w góry z nieznanymi? Nie tylko można, ale nawet trzeba! Gdybym się nie wybierał na górskie podboje z zupełnie mi obcymi ludźmi, to dziś nie znałbym ani Agi, ani Tomka.

tekst: Dziku